

AGNIESZKA KUBLIK: Ale żeby z Herbertem pa-na pomylić?...

WIKTOR ZBOROWSKI: Ja ogólnie wśród narodu - to dzisiaj obowiązujące słowo - robię za Zbigniewa. „Panie Zbigniewie”, „panie Zbyszkule”, do mnie mówią. Przypuszczam, że jak zbitka Z-borowski, to Z-bigniew. I robię za Zbigniewa do tego stopnia, że nawet reaguję na to imię.

Raz w Kołobrzegu po występach siedzimy, autografy rozdajemy, duża kolejka. Podchodzi młoda osoba: „Panie Zbigniewie, czy można autograf?”. Ja mówię: „Proszę bardzo, ale proszę powiedzieć, jak ja się nazywam”. Cisza. Podpisałem się: Zbigniew Zamachowski.

Następna. Jak się nazywam, pytam. Dłgie myślenie. „No, Zbigniew, tak, Zbigniew...”. Napisałem: Zapasiewicz.

I wreszcie taka młodziutka dziewczynka: „Zbigniew, Zbigniew...”.

„No, no, Zbigniew i co dalej?”. A ona z takim przerażeniem w oczach, z takim niedowierzaniem: „Herbert!?”.

Mnie zatkało. Ale mówię: „Tak, oczywiście”. Podpisałem się „Zbigniew Herbert” i w nawiasie jeszcze „Podbipięta”.

Na siedząco pan był, stąd pomyłka. Bo Herbert niższy...

- Nie sądzę, żeby ta młoda osoba wiedziała, jak wygląda Zbigniew Herbert. Może nawet, kim był.

Pański wzrost, 197 cm, to druga informacja w Wikipedii, pierwsza, że skończył pan warszawskie liceum Reja.

- Kiedyś taki wzrost robił wrażenie.

Wzrost to główna determinanta pańskiego życia czy teatralne korzenie? Dziadek był sufletem, babcia grała w amatorskim teatryku.

- Dziadek Kobuszewski zmarł, kiedy miałem dwa lata, prawie go nie pamiętam. Ale jest wuj, rodzony brat mamy Jan Kobuszewski.

Bardzo aktorska rodzina.

- Żona Janka Hanna Zembrzуска, moja żona Maria Winiarska, jej siostra i jej mąż. I teraz moja córka.

Dziadka ze strony ojca nie pamiętam. Zmarł pod Chersoniem na Ukrainie wywieziony przez NKWD. Był sędzią w Stanisławowie.

To Jan Kobuszewski wprowadził pana na scenę.

- W sztuce „Rewolwer”, miałem może z dwieście lat i raptem kilka słów do powiedzenia. Bieganie po scenie, a szczególnie po rekwizytorni, te wszystkie miecze, halabardy - to wszystko było fantastyczne.

Ale potem grałem wyłącznie w koszykówkę. Zaczęła się w 12. roku życia, skończyła w reprezentacji Polski. Ale po powrocie w 1968 r. z mistrzostw Europy zerwałem więzadła w kolanie, wtedy to był koniec kariery.

Byłem w klasie maturalnej i nie bardzo wiedziałem, co robić. Wojsko mi nie groziło, bo kolano kontuzjowane. Przynajmniej na rok miałem spokój. Janek odradzał mi szkołę teatralną, ale zgodził się trochę mnie przyuczyć. Na ostatnim spotkaniu przed egzaminem powiedział: „Ja bym cię przyjął”.

Niczym nie ryzykowałem, bo jak nie przyjmą, będę się przygotowywał na medycynę.

Medycyna?

- Plan awaryjny. Ale mimo tych prawie dwóch metrów wzrostu dostałem się.

Mimo?

- Janek Kobuszewski, który miał 187 cm, uważany był za niezwykle wysokiego i za pierwszym razem do szkoły się nie dostał. Wzrost gdzieś tam determinuje aktora.

Marian Opania też by to powiedział.

- Mniejszym łatwiej, bo ich jest więcej. Kiedy zdawałem do szkoły, taki wzrost to była nowość.

Jaki tekst przygotował pan na egzamin?

- Mówilem La Fontaine’a w tłumaczeniu Mickiewicza jeden wiersz i kawalek z „Chłopów”.

„Chłopów” czytał pan w liceum?

- Czytałem absolutnie wszystko, co wpadło mi w ręce. Miałem przeczytaną całą domową bibliotekę. I całą szkolną. Gdy mama mnie zapisała do biblioteki publicznej, w pewnym momencie nie miałem już co czytać.



Polska to nie jest koryto

Na aucie mieli powstanie warszawskie, „żołnierzy wyklętych” i śmierć wrogom ojczyzny. Zatrzymali się i wyrzucili do rowu śmieci. Posprzątałem po patriotach. Boję się, że jeszcze bardzo długo będziemy po nich sprzątać



PALKA ROBERT/NEXT FILM

„Trylogią” byłem zachwycony w wieku 11 lat. Rok później zabrałem się za Dostojewskiego i tak się zniechęciłem, że wróciłem do niego po 20 latach.

Zrobiłem zestawienie i wyszło mi, że czytałem 40 książek rocznie. A w związku z tym statystycznie Polak czyta tylko minus dwie książki rocznie (*śmiech*).

Ostatnio robię sobie powtórki. Przynajmniej raz-dwa razy w roku biorę się za coś, co czytałem 40 lat temu, np. „Braci Karamazow”. I stwierdziłem, że nic się nie zmieniło. To samo w tej powieści mnie fascynuje i to samo nudzi. Albo ja nic się nie rozwinąłem, albo książka ma takie momenty, które na mnie nie działają.

Bo np. „Czarodziejska góra” Manna to była i jest fantastyczna lektura. No i „Mistrz i Małgorzata”, moja najukochańsza książka, dla mnie najwybitniejsza powieść XX w.

Ostatnio przeczytałem „Króla” Twardocha. To jest tak napisane, że aż uderzałem w płacz, że mi się ta książka kończy. Teraz kończę o Wieniawie, czyli „Szwależer na Pegazie” Urbanka, też piękna rzecz. Przed chwilą skończyłem wstrząsające „Miasta śmierci” Mirosława Tryczyka, a za chwilę „Cynkowych chłopców” Aleksiejewicz będą przerabiał. Stos roślinie, nie nadaję.

Rytuał czytania?

- Noszę książki ze sobą i czytam wszędzie, gdzie się da, w kolejce sklepowej, w banku.

Ile ma pan książek?

- Nie tak strasznie dużo, około dwóch tysięcy. Ale każda inna, cha, cha.

Papierowe?

- Wyłącznie. Lubię coś zaznaczyć, podkreślić, jakąś uwagę czasem napisać. A te czytarki jakieś takie bezosobowo-techniczne.

„Prowadź swój pług przez kości umarłych” Olgii Tokarczuk kiedy pan przeczytał?

- Kilka lat temu. Ani przez chwilę nie myślałem o książce jako o materiale na film. Jak dalece byłem mało przewidujący, świadczy nagroda dla „Pokotu” na Berlinale!

Zawsze chciał pan zagrać u Agnieszki Holland. No i pan zagrał, a „Pokot” zdobył Srebrnego Niedźwiedzia.

- Gdy zadzwoniła do mnie śp. Weronika Migoń, że Agnieszka chciałaby mnie zaprosić do swojego filmu, zrozumiałem, że gram. W przeddzień spotkania okazało się, że jest casting. Agnieszka była uśmiechnięta, ale uśmiech kobiety może znaczyć wszystko. Minęło pół roku, w zasadzie już zapominałem o tej roli. Ale dostałem wiadomość, że jednak ja.

Agnieszka ma wielki autorytet, dlatego nie musi być „dyktatorem” na planie. Wszyscy rozumieją, czego oczekuje i wymaga. Strasznie dużo od siebie daje, ale też chce, żeby inni dawali jak najwięcej. Jest bardzo otwarta.

„Pokot” to jest bardzo długi film o zabijaniu z happy endem.

- No coś w tym jest.

Jak ten koniec rozumieć?

- Niby wiem, a nie wiem. Szczerze mówiąc, zadawałem nawet Agnieszce pytania, jak rozumieć koniec. A ona się tylko uśmiechała i mówiła: spokojnie, spokojnie. No i dobrze mówiła.

Bo to jest, jak w książce Tokarczuk, połączenie baśni i thrillera, i psychodramy, i suro-

wej obyczajowej historii twardo osadzonej w realiach Kotliny Kłodzkiej.

Zemsta jest słodka i się oplaca?

- To nie jest opowieść o zemście, o braku sprawiedliwości czy niesprawiedliwości. To opowieść o zaniku czułości wobec ludzi, zwierząt, roślin, tego wszystkiego, co żyje. To jest krzyk w poszukiwaniu ginącej czułości.

Zrobił się z tego film polityczny. Bo jest trochę i o feminizmie, i o ekologach, a te dwie idee konserwatyści potępiają.

- To jest pewien fenomen, który jest przynależny najwybitniejszym artystom, trafiające swoją twórczością w czas. Tak trafił Andrzej Wajda z „Powidokami”, a przecież film był przygotowany kilka lat temu. I tak trafiła Agnieszka. Wielcy artyści mają siódmy zmysł.

Holland żartuje, że Polska to nie jest dobry kraj dla starych kobiet, i o tym opowiada „Pokot”.

- W ogóle świat nie jest dla ludzi. Od kiedy człowiek stara się wyemancypować z ekosystemu, to świat przestał być dla niego.

Pan ma swój świat na Mazurach. Ten prawdziwy.

- Jeździłem tam z rodzicami jeszcze jako dziecko. Zaczynałem gdzieś w okolicach Wydmin, później między Orzyszem, Piszem, Rucianem-Nidą. Na Mazurach, żebym nie wiem o jakiej porze pojechał, to jestem na wakacjach. A w domu, nawet jak mam wolne, to w najlepszym wypadku czuję się jak na chorobowym.

I co pan robi na tych wakacjach?

- Książki czytam, palę w kominku, oglądam telewizor, czasem nawet włączony.

I na śmieci pan chodzi.

- To jest moje podstawowe zajęcie.

Z kijkiem od Krystyny Jandy.

- Bo ona też do lasu na śmieci chodzi. Dała mi kijek ze szpikulcem, żebym się nie musiał schylać. Niestety, teraz trochę wyrabiali tego lasu, na moje oko to w ciągu ostatniego roku z 15 hektarów.

Władza wyrabiała?

- A kto? To mnie boli bardzo. Zawsze kiedy idę do lasu, to głównie idę na śmieci. Nawet w sezonie grzybowym mam dwie torby. Grzybów prawie nigdy nie udaje mi się znaleźć, bo miejscowi są szybsi, ale śmieci skolko ugodno. I to jest fantastyczne, bo emocja jest taka sama jak na grzybach, a śmieci jest dużo więcej.

Skąd ta śmieciowa pasja?

- Bo wchodząc do lasu, wchodzę do śmietnika. Postanowiłem coś z tym zrobić. To taki mój maleńki, ale szalenie wymierny patriotyzm. Patriotyzm to jest po prostu szacunek dla ojczyzny i dla wszystkich obywateli. Z tego szacunku to robię.

Niedawno wzdłuż rowu szedłem i wyminał mnie samochód pełen patriotów. Rozpoznałem ich, bo na aucie mieli nalepione, że pamiętają powstanie warszawskie, że „żołnierze wyklęci” i śmierć wrogom ojczyzny. I z tego pełnego patriotów samochodu wypadły do rowu dwa opakowania po pizzy, parę puszek po piwie, sztucce plastikowe i papierowe kubki. I pojechał dalej wrogom ojczyzny śmierć zadawać. Posprzątałem po patriotach. Boję się, że jeszcze bardzo długo będziemy po nich sprzątać.

Chodzi pan na KOD?

- Jak tylko mogę, to jestem. Żeby zmanifestować przywiązanie do wartości, które cenię, do demokracji, do szacunku dla prawa. Maszeruję z poczucia patriotyzmu, czyli z szacunku dla mojej ojczyzny i jej obywateli. Ja jako obywatel szacunku od władzy nie czuję.

Bo władza mówi „gorszy sort”?

- Złodzieje, komuniści, gestapowcy, jakiś gen ubecki. Każdy, kto odważa się inaczej myśleć, jest tak nazywany.

Złe to wygląda, bardzo źle. Łądujemy na jakichś peryferiach i mimo gromkich okrzyków, że coraz bardziej się liczą z nami w Europie, to ja widzę, że coraz mniej.

Mnie nie dziwi, że młodzi ludzie, którzy nie mogą pamiętać poprzedniego, jakże słusznie minionego ustroju, przyjmują to z obojętnością. Jeszcze za wcześniej, żeby zrozumieć, że to o ich wolność idzie. Kiedyś rozumieją, ale może być za późno. Wtedy wyjadą. Jeśli jeszcze będą mogli i będzie gdzie.

Jak się pan dogaduje z kolegami, którzy mają inne zdanie albo wierzą w zamach smoleński?

- Z trudem, to jest bardzo bolesne. Ja nikt go nie przekonuję ani nikt mnie nie musi prze-

konywać. Nieliczni koledzy, bardzo emocjonalnie związani z PiS, nie mają pewności, czy był zamach, reszta po prostu uważa, że był, i już.

Boi się pan o Polskę, że tak górnolotnie zapytam?

- Bardzo się boję. Gra idzie o to, jaka wizja zwycięży: Polski jednego wodza, jednej partii i jednego narodu, wizja Polski zaściankowej, nacjonalistycznej, kseno- i homofobicznej, agresywnej, mściwej, wypiętej d... na wszystkich, czy wizja Polski otwartej na świat, tolerancyjnej, szanującej prawo, konstytucję i wszystkich obywateli, Polski wielokulturowej, mądrze wykształconej, wybaczącej i proszącej o wybaczenie. Jednym słowem, czy Polska pozostanie w Europie, czy zalegnie na rubieżach cywilizacyjnych i w konsekwencji stanie się ziemią niczyją. Już to przerabialiśmy. I upraszam, żeby nie mydlić oczu ludziom, że kogoś oderwano od koryta, a ktoś się do koryta dorwał. Polska jest naszym Wielkim Zbiorowym Obowiązkiem. A nie korytem.

Pan całe życie ucieka „od gównianej sławy, od beznadziejnych wywiadów, od kretyńskiej prasy”.

- Robię, co mogę, ale nie zawsze się to udaje. Pozuję na tzw. ściankach, kiedy to jest związane z moim przedstawieniem czy filmem. Przychodzę, bo wypada się dać sfotografować, i tyle. Na jakieś otwarcia, promocje już ładnych parę lat temu przestano mnie zapraszać. Co przyjąłem z dużą ulgą.

„Nie chcę być gwiazdą i nie jestem, od czasu do czasu uwielbiam mój zawód, ale najczęściej go nienawidzę, brzydzę się nim i on to wie. Odplaca mi pięknym za nadobne” – mówi pan.

- Coś w tym jest.

Przecież lubi pan grać.

- Od wielu lat stoję na uszach, żeby robić to, co lubię. To bardzo trudne. Często trzeba robić „coś”, żeby mieć na rachunki. I proszę nie wymagać, żebym to „coś”

ludzie, którzy widzieli ten film już Bóg wie ile razy. I znali całą listę dialogową na pamięć. Najpierw byłem zdumiony, potem zaczęło mi przeszkadzać. Aż wreszcie zachwyciło mnie, że oni razem z aktorami mówią te dialogi.

Ale aktorem dla Papkina pan został.

- ...dla klasyki. Kocham klasykę. Aktora nie ma bez klasyki teatralnej. Chodzę na klasykę. Niedawno przeżyłem fantastyczne chwile w Teatrze Współczesnym na „Fantazym” w reżyserii Maćka Englerta. Arcydzieło Słowackiego znakomicie wyreżyserowane, znakomicie zagrałe. Po prostu radość. A do tego jeszcze pełna sala, młodzi ludzie i bardzo dobre reakcje widowni.

Papkin to ukochana rola? „Wiktor Zborowski, obdarzony niesłychanie wyrazistą mimiką, był świetnym, przezabawnym Papkinem, a przy tym ani razu nie przekroczył granic szarży, o co w tej roli bardzo łatwo”.

- Kiedy raz przeszarżowałem w scenie pisania testamentu, nieżyjący już niestety Maniek Kociniak ciężko mnie opieprzył za to. I miał świętą rację. Później bardzo stonowałem Papkinowskie przeżycia nad testamentem.

Fredro napisał niezliczoną ilość sztuk, sztuk, komedijek, jednoaktówek, ale arcydzieł może pięć-sześć. I do tych arcydzieł należy „Zemsta”. To moja ukochana sztuka, reżyserował Guccio Holo-bek. Fantastyczna praca to była.

Papkin to niebywała rola, nazywany jest Hamletem komedii. Postać prawie nie schodzi ze sceny, właściwie wszystko kreuje.

2,5 kilo pan chudł po każdym spektaklu.

- To bardzo duży fizyczny wysiłek. A na początku brakuje tzw. ekonomii grania. Czyli gdzie można sobie odpuścić, a gdzie trzeba przywalić. To przychodzi po kilku, kilkunastu spektaklach.

Chudłem jeszcze przy „Człowieku z La Manchy”. Wysiłek nie wiem, czy nie większy.